Lwów, 28. Grudnia. Nr 153. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za do płatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksiegarni *H. W. Kallenbachia*

TELESKOPY.

Smutny to był dla xięstwa warszawskiego, rok 1813 który nastąpił po tylą nadziejami brzemiennej wyprawie Napoleona w roku 1812; smutny dla wszystkich prowincyi polskich, wyssanych tylokrotnie przez milionowe prawie wojska; smutny mianowicie dla serc naszych, które bez przygotowania prawie, przebiedz musiały tę ogromną uczuciową skalę, dzielącą najwyższą nadzieję, od najwyższej rozpaczy. W Warszawie, i całym obszarze xięstwa warszawskiego, długo się łudzono rozmaitemi myślami i domniemywaniami; nikt niechciał wierzyć, żeby ten Napoleon, który tylekroć całej Europie prawa dyktował mógł być zwalczony. Już glucha rozeszła się wieść, że Napoleon w nocy wpadł do Warzawy na nędznych saniach, i kilka tylko słów pomówiwszy z Pradtem i Stanisławem Potockim, pomknął dalej ku Francyi, a Polacy niewierzyli jeszcze. Cofające się w nieładzie resztki olbrzymiego wojska, uważano za jakieś ruchy startegiczne. Aż nareszcie gdy ostatni żołnierz francuski, i ostatnie polskie chorągiewki, które zawsze przy odwrocie w najostatniejszej powiewały kolumnie, gdy i te wyszły z kraju, a natomiast waliły się bez końca wojska moskiewskie z całym swoim ogonem rozmaitych dzikich hord kozackich i zakaukazkich, trudno już było oprzeć się rzeczywistości. Smutny to był czas, i jakie zasmucone wszystkie serca. Jeżeli przechód wojsk był sam przez się uciążliwym dla kraju już i tak zniszczonego, ileż okropniejszem było zupełne jego zajęcie przez wojska rossyjskie. I żebyć to jeszcze przez wojska! ale pułki regularne poszły wszystkie naprzód; w Polsce zaś został ów ogon, złożony z rozmaitej zbieraniny, tałatajstwa najgorszego, do którego należeli, prócz rozmaitego kozactwa, marudery ze wszystkich pułków, prawdziwe fusy najpodlejsze człowieczego rodu.

Co było najporządniejszego jeszcze w tej zbieraninie stanęło pod Zamościem w obozie oblężniczym. Komenderował tam jenerał Rath. Szwajcar rodem podobno, jeżeli awanturnicy szukający szczęścia po świecie mają jaką ojczyznę, wyruszył za młodu szukać fortuny, dostał się do Rossyi, tego owoczesnego Eldorado wszystkich awanturników, i został przeszedłszy wszystkie stopnie wojskowe jenerałem. Nie wiele różnił się też od innych jenerałów rossyjskich, których wówczas cała umiejętność wojskowa spoczywała na ślepem i machinalnem wykonywaniu wyższych rozkazów, i utrzymywaniu niższych w bezwarunkowem posłuszeństwie za pomocą pałek.

Owoż tego Ratha zostawiono pod Zamościem, dawszy mu krótki i lakoniczny rozkaz: masz obledz i zdobyć Zamość. Prócz rozkazu niewiele mu zostawiono środków po temu; było tam trochę piechoty niby to regularnej, nieco kawaleryi marodującej i furażającej w około, i kilka pukawek lekszych, dobrych w polu, ale za słabych do rozbijania murów. Biedny Rath łamał sobie głowę, jak tu zdobywać; a trzeba koniecznie, bo taki rozkaz korpusosowego jenerała. To go najwięcej zbijało z pantałyku, że niemoże na żaden sposób zbliżyć się pod fortecę która dobrze zaopatrzona i dzielnie broniona strzałami swemi daleko sięgającemi, trzymała Rossyan w respekcie. Niewiedząc jak sobie pomódz, zwoływał ciągle rady wojenne, które oczywiście nie prowadziły do niczego, bo wszyscy oficerowie zasiadający tyle umieli co i sam jenerał.

Razu jednego przy takiej radzie wojennej, nakurzywszy się waksztafu do syta, mieli się już rozejść wszyscy gdy się odezwał jenerał. Trzeba zaś wiedzieć, że mówił częściej po niemiecku, co się niezmiernie przykładało do jasności i użyteczności takich narad.

— Żeby przynajmniej można jakim sposobem zajrzeć do fortecy, i zobaczyć co się dzieje w środku, ile mają harmat, które miejsca najsłabsze?..

— Prawda! wielka prawda! ozwało się kilkanaście głosów.

— Ale blisko przystąpić nie można, w około płaszczyzna.

— Jak nasze stepy! ozwał się stary Ataman kozacki.

— A choć zdaleka jest jaki pagórek, dla odległości nic nie widać! kończył pan jenerał.

I obejrzał się na wszystkich; wszyscy na niego, lecz nikt się nie odezwał. Aż dopiero po chwili podniósł się jakiś stary pułkownik, Rossyanin nastojaszczy, który przed laty jeszcze bywał kilka razy w Polsce, i tamtejsze znał okolice.

— Byłaby na to rada!... ozwał się.

— Jaka? zawołał jenerał, i cała wojenna rada ciekawe nań wypatrzyła oczy.

— Trzeba na to tuby! mówił dalej stary pułkownik.

— Jakiej tuby? zakrzyczeli go.

— Są takie tuby ze szkłami, przez które o kilka i kilkanaście mil widać.

— Et to perspektywa! ozwał się najmłodszy oficer.

— Perspektywa! powtórzył jenerał, ale skąd ją wziąć?

— Jest tu niedaleko ztąd Opole; mówił znowu stary pułkownik; należy do grafa Wacława Rzewuskiego; u niego takich tubów, czy perspektyw jest mnóstwo, ale oni to nazywają teleskopy.

— Teleskopy, czy nie! zdadzą się nam, zagaił posiedzenie pan jenerał.

Lecz jakże ich dostać? Najlepszy zapewne sposób posłać kilkunastu żołnierzy i kazać zabrać. Ale że to z grafem Rzewuskim sprawa, a dla grafów miał niepospolite uszanowanie nasz jenerał, postanowił więc najprzód środków dobrych. Grafa niebyło naturalnie w domu, ale był u niego rządca, pan P., człowiek i polak prawy. Posłał więc do niego jenerał zapraszając do siebie. Nie rad był zapewne tym zaprosinom pan P. ale trudna rada; silniejszemu niepodobna się oprzeć. A więc pan rządca dobrawszy co najgorszą bryczkę i najlichsze konie, aby nie dać pochopu znajomej sobie pożądliwości przyjechał do obozu.

Jenerał przyjął go uprzejmie, i nawet na obiad zaprosił, nieszczędząc gorzałki, wina i szlachetnego czaju. Po obiedzie dopiero, gdy się inni goście rozeszli zaczął jenerał choć po niemiecku, ale prawdziwie na sposób rossyjski, z daleka per ambages, sztucznie niby.

Pochwalił najprzód grafa, że wie o nim, że on Carowi sprzyja, że w wielkiej z jenerałem jest przyjaźni, na co biedny rządca ściął tylko zęby i ręce aż po za siebie schował.

— A więc spodziewam się, że gdyby tu był, sam by chętnie dał wszystko co potrzeba do obozu.

Rządca aż się drapał w dłonie, tak go świerzbiały.

— Wy macie bardzo śliczne konie, jak słyszałem; mówił dalej jenerał z słodkim uśmiechem. Zdały by się dla nas pod puszki.

Rządca wskazał przez okno na swoje chabety.

— To są najlepsze nasze konie! odpowiedział.

— A gdzież się podziały arabskie?

— Zabrali Francuzy!

— Musicie także wiele mieć zboża w waszych szpichlerzach?

— Wszystko poszło na podrady dla wojsk rossyjskich jak tędy maszerowały.

— No! no! cóż robić na to! kiedy niema, to trudno; ale szkoda, bo graf byłby bardzo kontent, gdyby nam mógł co pomódz... Ale... ale... dodał jenerał: wy macie tam takie perspektywy, czy teleskopy, co to przez nie można daleko widzieć... wiem to z pewnością.

Trudno było zaprzeczyć; przyznał więc biedny rządca, że się znajdują w istocie w Opolu takie teleskopy, nie wpadłszy nawet w pierwszej chwili na prawdziwy powód tego zapytania.

— Otóż te teleskopy dacie mi, bo mi tu są koniecznie potrzebne, abym mógł przecie zajrzeć do fortecy, co tam się dzieje.

Aż zadrżał ze złości pan P. na myśl żeby teleskopy jego pryncypała miały służyć do szpiegowania wnętrza fortecy.

— Ja bym mógł był posłać po nie! kończył pan jenerał, ale ja wolałem mieć od was po dobremu, a w swoim czasie, ja was przedstawię jenerałowi korpuśnemu do pochwały.

— Dobrze panie jenerale; wycedził pobladły z gniewu rządca, ja wracam do domu i przywiozę teleskopy do obozu; bo to trzeba pakować, aby się nie potłukły.

— Ot byle choć czasu zyskać; pomyślał w duszy, i wyjechał nazad do Opola zkonstenrowany w najwyższym stopniu. Wstąpił po drodze do znajomych w Lublinie, poczciwych jak on ludzi. Wszyscy naturalnie dowiedziawszy się o co rzecz idzie, zakrzyczeli, że niemożna, niegodzi się, dawać broni na swoich własnych rodaków.

— Mniejsza już o koszt! mówił rządca, chociaż wiem że hrabia Wacław zapłacił za nie kilka tysięcy czerwonych złotych, bo oczywiście przepadną jak się do nich dostaną, ale tu idzie o naszych. Nie... nie można dać!... ale co robić?

Nagadali się, naradzili, ale naturalnie nic zdecydować nie mogli, bo rządca niemógł wziąć na swoją odpowiedzialność, aby taki zbiór kosztowny zniszczyć, i nareszcie już teraz za późno, kiedy się sam do nich przyznał.

Smutny i zgryziony przyjechał do domu, nie wiedząc co czynić. Ledwie się miał czas roztasować w Opolu, gdy wpadł hajduk, z wiadomością że przyjechali jakieś oficery rossyjskie wraz z kilkunastą żołnierzami, i stanęli wszyscy przed pałacem.

Byli to oficery wysłane od jenerała Ratha, który czy niemogąc się doczekać, czy niedowierzając panu P.. wysłał ich z rozkazem, aby żądane teleskopy sprowadzić do obozu.

Zanim rządca z oficyn przyszedł do pałacu, oficerowie weszli już do dalszych pokoi. Zaszedł im drogę staruszek blisko osiemdziesiątletni, siwy jak gołąb; w polskim stroju, ale krzepki jeszcze jak na ten wiek późny. Na widok Rossyan zaiskrzyły się starcowi oczy.

— Gdzie teleskopy? woła jakiś kapitan od piechoty, oglądając się po pokoju wzrokiem głupim i pożądliwym.

— Jakie teleskopy? zawołał starzec zdziwiony i przestraszony razem, bo dotąd nie widząc się z rządcą nie wiedział o co rzecz idzie. W tej chwili wszedł rządca i rzecz się wyjaśniła. Staruszek osłupiał, krew w nim ostygła, usłyszawszy, że potrzebują teleskopów, aby ich użyć na Zamość. Gdyby wzrok mógł zabić, ani jeden nie byłby wyszedł żywy; tak silne i ogniste, barskie i kościuszkowskie czasy przypominające rzucił na nich spojrzenie.

Bo ten staruszek dzisiejszy burgrabia pałacowy, był to

przedewszystkiem szlachcic polski i to szlachcic całą gębą, przywiązany sercem i duszą do ojczystej ziemi: był on dawnym sługą rodziny Rzewuskich, który dziada jeszcze pana Wacława pamiętał. I nie za piecem przebył on długie swe lata; wojował za młodu z hajdamakami, wojował i w męskim wieku, gdzie tylko wojować można było, i już starcem prawie porzucił spokojną zagrodę jaką miał od starego Rzewuskiego, by ran jeszcze kilka za kraj odebrać na polach Maciejowic i Dubienki. Zostawszy później burgrabią w pałacu panicza którego kochał jakby syna, jakby wnuka własnego, jedyną było mu pociechą gdy od miejscowego plebana, albo od przejeżdżających zasłyszał co o legionach, o Napoleonie, o jego zwycięztwach, o nadziejach jakie wówczas równie z najrozmaitszemi wieściami biegały po kraju, Nad grobem już będąc dwie zachował namiętności równie prawie silne, a tak żywe, jakby jeszcze był w wiośnie życia. Miłość dla kraju i nienawiść Rossyan przeciw którym całe życie walczył, to były jego dwa najsilniejsze uczucia, po nich dopiero szło przywiązanie niemniej silne do pana Wacława Rzewuskiego i jego rodu całego.

Łatwo pojąć jakie na nim zrobiła wrażenie sama ta myśl, że teleskopy pana Rzewuskiego miały służyć i pomódz może do zdobycia polskiej przez polaków bronionej warowni. Im więcej o tem myślał tem silniej wrzała w nim krew szlachecka i wojaka. Co tu robić? sam się pytał, i łamał nad tem głowę.

Rządca tymczasem zagadywał sprawę jak mógł, byle czasu zyskać, a znając obyczaje rossyjskie, zawołał na dworskiego kozaka, aby podano samowar i rózne przekąski, a żołnierzom rozdzielono po miarce wódki. Oficerom podobały się te dyspozycye, i najstarszy między niemi kapitan odpinając pałasz, przemówił do kolegów:

— Harasz człowik!

Staruszek uśmiechnął się na to, zasępione rozjaśniały mu się lica, i pomału przysunąwszy się do rządcy, szepnął mu do ucha.

— Staraj się ich pan jak najdłużej zatrzymywać.

Sam zaś w czasie zamieszania, przy wnoszeniu samowaru i rozmaitego jadła, niespostrzeżony wymknął się przez drzwi do środka prowadzące. Ledwie się sam znalazł, wyprostował się, groźnym po za siebie rzucił wzrokiem, i mruknął do siebie.

— Stobyście djabłów zjedli! teleskopów wam potrzeba! poczekajcie!...

I żywszym nad wiek swój krokiem poszedł do narożnego pokoju, z którego prowadziły na górę kręcone schody. A na górze były trzy śliczne i obszerne sale. W pierwszej były same obrazy przodków pana Rzewuskiego, sławnych królów i ludzi w Polszcze i inne historyczne portrety. Był też w niej pyszny zbiór rozmaitej zbroi, różnych wieków i różnych kształtów; pamiątki naszych dawnych wypraw, bojów i zwycięztw. [1]) W trzeciej dopiero sali były owe teleskopy. Sala ta z wieżą i kopułą urządzona była na kształt astronomicznego obserwatorium i prócz teleskopów rozmaitej objętości, były w niej kwadranty, mapy planetarne i inne po temu potrzebne przybory. Sala ta urządzona była cała staraniem Wacława Rzewuskiego, który młody jeszcze wówczas człowiek, miał już to usposobienie dziwne, marzące, awanturnicze, którem się przez całe wsławił życie. Oddany wiecznie gwałtownym ćwiczeniom ciała, uganiał światami na tęgich rumakach, jakby chciał zabić ruchem i zmęczeniem ten wewnętrzny niepokój, który był w nim przeczuciem prywatnych i publicznych losów. A jeżeli chciał odpoczynku, wracał do swych sal ulubionych, i albo marzył całe godziny w sali obrazów i pamiątek, albo znowu przegrywał swe marzenia na rozmaitych instrumentach, akompaniując sobie nieraz spiewem, bo był on muzykiem i śpiewakiem nielada; albo co najlepiej lubił, zamykał się w sali ostatniej, i z tamtąd nastawiając teleskopy, śledził ruchy ciał niebieskich. Nie lubił by mu przerywano w tem zatrudnieniu, i nieraz całe dni w tej sali przesiedział. I smutniejszy, więcej jeszcze rozmarzony wychodził z niej, czy że mu się nie zawsze obserwacye udały, czy może, co pewniej.. śledzenia swoje idąc za dawnej astrologii nauką chciał zastosować do zdarzeń ziemi. A jeżeli wypadł mu kiedy własny horoskop, jakże dumać musiał nad ciekawem i tajemniczem własnych losów roztrzygnieniem. Bo jak życie jego wędrowcze po własnych i zamorskich krajach, po dzikich puszczach i stepach wschodu, przeszło całe, jakby jaka bajka wschodnia, tak i koniec jego życia pozostał bajką z ucha do ucha opowiadaną, niedocieczoną nigdy. Znikł bez śladu, bez wieści, tumanem tylko kurzu, kopytem dzielnego rumaka dobytego, pożegnawszy towarzyszy swoich.

Do tych to sal pośpieszył stary pan Franciszek, i pilnoć mu się działo, bo przebiegł tylko przez pierwszą salę, a była to przecie dla niego sala najmilsza. I nieraz pod pozorem strzepywania prochów biegał do niej starowina po razy kilka, by choć zgrzybiałą rękę przycisnąć do tych starych zbrój, które już nie był wstanie udźwignąć. Równie szybko przebiegł i drugą salę, i zadyszany wpadł do trzeciej sali. Za bytności samego pana, nie bywał on tam nigdy, i nie wiedział nawet jak używać tych teleskopów, a nawet mimo całego uszanowania jakie miał dla swego pana uważał to patrzanie w niebo i gwiazdy za oczywiste bzdurstwo, niegodne hetmanów potomka. I może po raz pierwszy zrozumiał z rozmowy o-

---

[1]) W drugiej sali był znowu najkompletniejszy zbiór, wszystkich instrumentów muzycznych, jakie tylko ludzie wymyślili, od poważnych organów zacząwszy, a skończywszy, na rozmaitego rodzaju grających zegarach, tabakierkach i pozytywkach.

ficerów, ze można tych instrumentów na inny obrócić użytek, i to jeszcze jaki!

— Diabła zjecie, czy będziecie co widzieć! mruknął wprzód do siebie i z determinacyą przystąpił do instrumentów.

Bo stary nasz wyjadacz praktycznym obdarzon rozumem, choć tyle rozumiał się na optyce co ślepy na farbach, odgadł od razu gdzie spoczywa siła teleskopów. I z dziwną na wiek swój zwinnością i zgrabnością zaczął wykręcać wszystkie szkla z teleskopów, i wszystkie nazad pozakręcał, ale na przeciwną stronę. Łatwo pojąć co się z teleskopami stać musiało, po takiej przemianie stosunku optycznego szkieł do siebie. (D. n.)

Chwila tęsknoty.

Och, czegoś smutno mi! och czegoś tęskno mi!
Świat wspomnień owiał czarem,
I serce boli, drzy, łza płomień oka ćmi,
A lica płoną żarem.

Miniony błogi świat, sny kwietne lepszych lat,
W pamięci świecą mgławo.
Toć jakby więzień z krat, żegnam ja łezką świat,
I pieśnią żegnam łzawą.

Każdy dźwięk moich słów, leci nad Smotrycz, Rów,
Nad srebrną Bohu wodę,
Tam tyle wspomnień, snów... och, czyż powitam znów
Rodzinnych pól zagrody!

Tam mię kochano, tam — tam było błogo nam,
O serce, gęśli śpiewna!
Nieraz gdym smutny, sam, — to myślą lecę tam,
I łza tam płynie rzewna.

I smutno czegoś mi, i tęskno czegoś mi,
Świat marzeń znika czarem,
I serce boli, drzy, łza płomień oka ćmi,
A lica płoną żarem.

Tam obcy, obcy świat, na wiele może lat!
A w życiu chmurno, mgławo..
Toż jakby więzień z krat, ostatni rzucam kwiat,
Pieśń moją rzewną, łzawą.

H. J.

Do * * *

Gdy patrzę w twe oczy, to serce w zachwycie,
Czar jakiś uroczy mną całym owłada,
I wzdycham bezsłownie, jak niemy, jak dziecię
Li oko wymownie uczucia spowiada.

O luba! nie w słowach, nie w słowach zapały!
Nie w słodkich rozmowach uczucia słodycze!
Do serca spojrzenie! — o wulkan tam cały,
Niebiańskie marzenie— piekielne gorycze.

O wulkan tam cały — bo pierś ma w płomieniach,
Uczucia zagrały, jak harfa stepowa,
I płomień w spojrzeniu, i płomień w westchnieniach,
Me serce w płomieniu! — a na to gdzie słowa?!

Niebiańskie marzenie... bo tyś jest niebianką,
Aniołów promienie nad piękną twą głową,
Najmilsze u ludzi, to słowo: kochanko.
Mnie serce ostudzi, gdzież godne cię słowo?!

I piekło w mej duszy, bo błędne koleje,
Tęsknoty katusze, tuż widzę przedemną,
Lecz gorżkie cierpienie i łzy co wyleję,
Osłodzi wspomnienie, żeś była wzajemną.

Żem patrzał w twe oczy, w czarownym zachwycie,
I czar ten uroczy spowiadał westchnieniem,
A luba, do słowa, pojęła to życie,
Gdzie cała wymowa, jest tylko milczeniem.

H. J.

Najnowsze dzieła.

Pan Stolnikowicz Wołyński

powieść Józefa Korzeniowskiego w dwóch tomach nakładem M, Wolffa wyszła w Petersburgu i Mohilewie.

(Dokończenie).

Następuje nareszcie ostatni obrazek. Dwór wielki, wspaniały pana wojewody Kijowskiego i regimentarza partyi ukraińskiej Józefa Stępkowskiego. Wszystkie szczegóły pańskiego dworu równie jak i cała figura wojewody oddane z życiem i prawdą. Stolnikowicz zostaje przy tym dworze dworzaninem, assystentem i opisuje nam wszystkie zalety takiego wychowania przy pańskim dworze, z większym wydatkiem dowcipu niżeli prawdy. Bo jużciż Bogiem a prawdą powiedziawszy, czyż nie to służebne wcielanie się szlachty naszej w życie i zdarzenia polityczne magnatów, tworzyły one nieszczęśliwe stronnictwa i konfederacye, które szarpały naszą ojczyzną i nie dały jej przyjść do rozsądnego ładu?... Tu nagle Stolnikowicz urywa, dając tylko do zrozumienia, że się ożenił później z podczaszanką, ale że i w tem małżeństwie nie znalazł szczęścia, bo mu sumienie zarzucało jakiś czyn sromotny, którego się dopuścił, wyruszywszy z wojewodą w świat obszerniejszy. Jaki to czyn, niewiemy; można się wszakże dorozumieć, że główną w dalszem życiu jego i stanowczą odegrało rolę, zamiłowanie namiętne do kart, które się w nim za młodu odzywać zdawało. Pamiątką snać tego czynu sromotnego poruszony Stolnikowicz porzuca pokryjomu dom pana Ludwika. W dawnym swym obdartym stroju znika zupełnie i aż nareszcie później dopiero dowiadują się obaj młodzi przyjaciele, że w nędzy i gi jaństwie zakończył życie Stolnikowicz w Żytomierzu.

Powtarzamy, że niepospolita szkoda, iż autor nie dokończył powieści tak znakomicie rozpoczętej. Stolnikowicz na większej scenie i z zasobem swych cnót staroświeckich i domowych występujący w walce z owem wielkoświatowem zepsuciem, przedstawił by nam obraz wielki i zaj-

mujący, który najlepiej mógłby odpowiedzieć zamierzonemu, jak wyżej mówiliśmy zadaniu. W takim razie łatwiej-by może przyszło autorowi poprzeć i dowieść może to, o którem mówiliśmy z początku zdanie, że przeszłość naszą indywidualną i zbiorową zgubiło zepsucie idące w parze z cywilizacyjnem nowatorstwem. Bo że wszędzie, gdzie tylko może Stolnikowicz, dawne obyczaje chwali ze szkodą nowych, i w upadku onych upatruje przyczynę upadku kraju, można to, ściśle rzecz rozebrawszy, uważać jeno na wybryk złego humoru, łatwy do wytłómaczenia, w starym człowieku, który od wieków i wszędzie utyskuje na złe czasy i płacze za przeszłemi. Że wszakże Stolnikowicza wybryki, podawane przez autora bez własnych uwag, nic nie dowodzą prócz tego, że autor idąc za popędem tej tak rozpowszechnionej szkoły jeremiaszów lamentujących na teraźniejszość, jeżeli nie czynnie to przynajmniej biernie poprzeć ją chce.

Tyle już jest powiedziane pro i contra tej szkoły, że prawdziwie już szkoda czasu i atłasu więcej pisać o tem, bo i nareszcie nic nie pomoże. W zdaniach politycznych jak dawniej w polemice teologicznej, nigdy jeden drugiego nie przekonał; ale że każdemu zda się, że coś nowszego mówi, choć wyklepane powtarza zdanie, niech nam wolno dodać parę jeszcze słów do tylekroć z tego samego powodu wyrzeczonych już zdań i uwag. Rozumiemy doskonale że każdy czyta z radością, zajęciem i zapałem nawet, obrazy malujące przeszłość naszą ze wszystkiemi jej zdrożnościami, bo mimo tych zdrożności i wad ta przeszłość była piękna i szczytna, i każdy z nią porównywając teraźniejszość do niej wzdycha serdecznie. Z tego powodu opis najwięcej drobiazgowy naszych obyczajów dawnych zajmuje nas nieskonczenie i wprowadza w mimowolną chęć porównywania dawnych obyczajów z naszemi, które ostatnie muszą się wydać dla tego tak liche, że są obyczajami naszego nowego bytu, tyle różnego od bytu dawnego, pełnego samoistnej świetności. Lecz od tego upodobania jakże jeszcze daleko do tej myśli, że zmiana obyczajów dawnych zabiła przeszłość naszą. Jest to zeznamy szczerze zdanie czysto chińskie. Bo jużci niepodobieństwem jest fizycznem i historycznem, by się obyczaje jakiego narodu nie zmieniały. Prócz w państwie niebieskiem Chińczyków, niemogącem za typ służyć, przeobraziły się wszędzie. Niemcy i Francuzi czytają z zapałem stare pamiętniki i obrazy przeszłości, ale żadnemu z nich przecie nie przyjdzie na myśl płakać i narzekać za obyczajami niepowrotnej przeszłości, a co więcej upatrywać w tej przemianie, przyczynę tego złego, na które przecie wszyscy na całym świecie wiecznie utyskują. Szczególowo zaś do nas, chcielibyśmy by rzecz kto sumiennie a historycznie i prawdziwie okazał, ile z tych dawnych obyczajów naszych, tak chwalebnych tak miłych w czytaniu, przyłożyło się najwidomiej do upadku naszego: wtenczas dopiero okazałoby się, ile i które to z tych starych obyczajów należy żałować. W takim rozbiorze musielibyśmy wracać aż do naszych najdawniejszych czasów i ciągle płakać za stratą obyczajów wiek po wieku zmieniających się. Historya wyższa od powieści, pewno już to jasno i wybitnie okazała i zawyrokowała, ile w katastrofach naszej przeszłości miały udziału okoliczności, a ile własnych obyczajów winy. Wszyscy żyć musimy w czasie i z czasem w którym żyjemy. Stanąć na miejscu i lamentować za przeszłością do niczego pożytecznego nie prowadzi, jest to zawsze czy lenistwo czy otrętwiałość ducha. Takie płaczki w tyle zostające, mimo najwyższych talentów stają się ogółowi niepożyteczne. I że tak jest, możnaby to to jeszcze w dowód podać, że nigdzie nie wychodzi tyle takich retrospekcyjnych płodów ile w państwie rossyjskim na którego przecie ostrą cenzurę wszyscy narzekają.

Teatr krakowski.

Repertoar sceny. Dzieła oryginalne rękopiśmienne z lat kilku ostatnich.

W liście ostatnim pisaliśmy o widowiskach polskich z miesiąca poprzedniego i wykazaliśmy, że rozpoczęto je dziełami bądź nowemi bądź oryginalnemi, a że niektóre z nich, nie umiały podobać się (może dla gry niewystarczającej) to nie idzie zatem, aby wnioskować że repertoar był lichy lub ułożony niedbale. Jednakże wielu jest tak twierdzących, są to ślepi wyrokujący o barwach, potępiający sztuki nie widziawszy ich, zowiący je staremi, chociaż te dotąd ani razu granemi nie były, słowem są to osoby nie mające dostatecznej wiadomości o przedmiocie, o którym chcieliby decydująco rozprawiać.—

Oprócz już wymienionych grano jeszcze w Listopadzie nowe i effektowe dramata po raz 1szy *Esmeralda* (przez Birchpfeifrową), *Hrabia Hermann* (Dumasa) a nadto powtórzono *Żebraczka* przez Fresona (po raz 2gi) *Mąż jedzie na wieś* przez Bayarda (po 4tyraz) i *Damy i Huzary* przez Fredrę po raz 10ty (1szy raz grane 1821 r. d. 18. Styczuia): W ogóle w 42. widowiskach odegrano po raz pierwszy sztuk 9. Z tych 2. oryginalne, powtórzono 8. z tych 6. oryginalnych. Cyfry te najdobitniej przemawiają przeciw czczym zarzutom tych, którzy czemkolwiek bądź, starają się usprawiedliwić ową oziębłość względem teatru, wynikłą z małego wykształcenia umysłowego, cechującego się zwykle zamiłowaniem stolika zielonego, ławy knajpowej i tym podobnych rozrywek, poniżających godność człowieka. —

Dziś, gdy nam przychodzi powiedzieć nieco o repertoarze z Grudnia, nie możemy mimo uprzedzającej życzliwości dla sceny, powiadczyć cyframi, by repertoar trafnie był ułożony przez Dyrektora Tłumaczymy sobie brak wyboru tem, iż dyrektor złożony chorobą obłożną, i z niej ledwie co wyszedłszy, znajdując się na drodze odzyskania mocno nadwerężonego zdrowia, niemógł wydołać najlepszym chęciom swoim, i dla tego nieodpowiedni ułożył repertoar na ten miesiąc.

Na Grudzień wypada 8. widowisk. W ostatniem granym był ma nowy dramat *Dzwónek szatański*. 1. grano zaś nowy dramat Ładnowskiego. Reszta sztuk 10 same powtórzone. Mianowicie grano te sztuki znane i jednoaktowe: *Krakowianka. Ułan i Grenadyer. Indiana, Charlesmagne. Podstęp P.kapitana. Uściskajmy się. Gdzie nasi mężowie chodzą.* Pierwsza przerobiona z francuzkiego blisko przed laty trzydziestu w Warszawie, nosi tylko tytuł krakowianki, ale szata jej i barbarzyński język, stawiają ję wraz z sztuką: Gdzie nasi mężo wie

chodzą? w rzędzie potworów scenicznych; ostatnia sztuka, sądzę, że będzie to samo co Farsa: Wilk na pokucie, przerobiona wierszem z niemieckiego przez Maryą Każyńską. *Indiana*, powinna równie zejść z repertoaru, jako mniej przyzwoita i nazbyt osłuchana. Sztukę tę dają jeszcze w Warszawie, ale zwykle tylko dla publiki gratisowej, gdy w uroczyste dnie bywa teatr grywany bezpłatnie. Zresztą Warszawa nie może nam służyć za model pod względem repertoaru, bo tam Jasiński i inni kierownicy teatru, jakby umyślnie zaniedbali starań około przyzwoitego zaopatrzenia repertoaru teatralnego, i owszem rzecby można że stłumiają popęd do pisania dzieł oryginalnych, lub wystawiania napisanych. Ileż to sztuk Korzeniowskiego nie grano tam, sztuk, które po wielokrotnie na innych scenach były widywane z upodobaniem.

Sztuka *Ułan* i *Grenadyer*, równie nie powinnaby się okazywać, bo tylko gra mistrzowska artystek mogłaby pokryć jej czczość i usterki w samem nawet wierszowaniu. U nas nie była wygłoszoną jak należy. Sztuka tylko jedna: *Uściskajmy się*, dla wesołych zwrotów, pięknej gry panny Kotowskiej, Królikowskiego, Ładnowskiego i gry Janowskiego dobrze pojętej, trafnie była wybraną.

Powtórzono raz drugi dobry dramat *Pajac*, ale nań zeszło się ledwie osób kilkadziesiąt, dla tego wstrzymano się z odegraniem powtórnem Staroświeczczyzny, która tu *fiasco* zrobiła, a w miejsce jej wywleczono dramę jasełkową *Rinaldo*. Sztuka ta jeszcze tego roku nagromadziła publiczność poznańską tłumami, ale u nas i galerya nie przybyła. *Rinaldo* mógł sprawiać wrażenie wówczas, gdy dramat wyciągał dłonie z kolebki, gdy nieznano dzisiejszej wyższej komedyi i dramatów tendencyjnych. Dzisiaj Rinaldini próżno połyskiwał świetnie wyrazistą jak zawsze grą Królikowskiego, minęła już jego epoka powodzenia. Jeszcze tylko na prowincyi przy zaimprowizowanych teatrach, zjednywa sobie wielbicieli, w Poznaniu zebrano za niego kilkaset talarów, a po Galicyi sztuka ta słynie dotąd za niewyczerpaną skarbnicę. Ale prowincyonalne miasto, w ktorem raz do kilku lat zawita na czas krótki trupa wędrowna, nie może równanem być z miastem, w którem od lat około 50ciu w kilku tysiącach widowisk przedstawiono kilka tysięcy dzieł najrozmaitszych, mogących wykształcić gust i natchnąć wyobrażeniami choćby powierzchownemi o sztuce i estetyczności.

Od połowy grudnia zwrócono się do sztuk lepszych chociaż znanych. *Ładnowskiego* dramat: *Eudoksya Czartoryjska*, utrzyma się jako sztuka niedzielna, pomimo, że autor porwał się na przedmiot nad siły swoje, tworząc obraz dziejowy, ojczysty, a to bez studyów i bez odpowiedniego poznania wewnętrznego życia narodu i jego historyi. Krotofile miejscowe i miejscowe charaktery w drobnych komedyjkach, komika niższa wyprowadzona z warstwy Izraelitów, z klasy roboczej i rzemieślniczej, oto pole najwłaściwsze dla tego pisarza, który gdy nadto nie jest poetą, nie powinien kusić się o składanie złych wierszy. Dramat jednak wymieniony, nie zejdzie pewnie z repertoaru, bo napisany jest z wielką świadomością efektu scenicznego, z wielkim orszakiem słów deklamacyjnych, podnoszących uczucie narodowe, z ciągłą rozmaitością wystawy, która tą razą odpowiedziała oczekiwaniom. Słaby wiersz, i słabsze jeszcze spojenie rozrzuconej treści, niehistoryczność i bezbarwność charakterystyki osób ujdzie uwagi przeważnej liczby niewymyślnych słuchaczy, szukających w sztuce, troistego składu, to jest: effektowności, wystawy i chwalebnej dążności. Pana *Jowialskiego* Fredry grano po raz 12. od roku 1832; aktorowie wszyscy bez wyjątku umieli dobrze role, i grali z wszelką precyzyą, ale grali przy najkompletniej wyludnionym teatrze. Komedyą *Zemsta* przez *Fredrę*, grano po 15. raz (zaś 1. raz dnia 7 kwietnia 1839 r) Grano ją dobrze, jednak publiczność zwyczajem swoim nie przyszła w liczbie spodziewanej; loże wprawdzie wszystkie zajęte, ale parter i galerya stały pustkowiem. Ładnowski (w roli Papkina) głównie, jako też Królikowski, (Raptusiewicz) interesowali dokładną grą, a i Janowski (Wacław) tudzież Sulikowski (Rejent milczek) umieli wniknąć w charakter przybrany. Janowski za zręczne wygłoszenie w akcie czwartym, słów zwróconych do Cześnika, zasłużone zyskał oklaski, — w scenach jednak miłosnych więcej należało mieć życia, a mniej pośpiechu w odrecytowaniu wiersza.

Wymieniliśmy poprzednio sztuk nowych kilka, które podarowano teatrowi do użytku. — Do liczby jeszcze powyższej, doliczyć wypada kilka dzieł przekładu jednej z dam, i sprowadzony przekład komedyi *Ponsarda*: *Honor i Pieniądze* i dramat: *Sierota z Loowod*. Są to wszystko po większej części utwory obszerne i pióra znakomitszych pisarzy. Tak więc samych tłumaczeń nowych, teatr nasz ma na to półrocze więcej niż 20 do użytku, a oprócz nich, jeszcze kilkanaście dzieł oryginalnych udzielonych, przez Gorczyńskiego, Anczyca, Ładnowskiego i bezimiennych.

Wiemy o tych dziełach i znamy je po większej części; możemy więc śmiało radzić, by nie zwlekać z ich rozpisaniem na role i odegraniem, bo dzieło nowe, choćby nienajlepsze, nęci bardziej, niż najlepsze lecz już znane, a tem więcej, niż owe szopkowe klejonki jak: Rinaldyni. Pamiętajmy, że teatr dzisiaj głównie stoi rozebranym abonamentem lóż kilkunastu; dla osób więc lożowych przynajmniej, należy występować z nowaliami, i odwzajemniać się im za troskliwość okazaną względem uratowania sceny. Pomierna sztuka nowa oryginalna, zwykle więcej ma powabu niż najlepsza tłumaczona, a wszakżeż nie zbywa nam na dziełach oryginalnych nowych i to dobrych, które muszą się podobać na scenie.

Wykażemy które to dzieła nowe można przedstawiać, uczyniwszy tylko niejakie starania względem pozyskania tychże, a najprzód w tym liście powiemy o samych utworach rękopismiennych.

Korzeniowski Józef, chociaż od lat sześciu zeszedł dobrowolnie z wysokiego jedynowładnego stanowiska, jakie zajmował w dziedzinie dramatu, a to dla zajęcia miejsca podrzędniejszego w powieściarstwie, (bo zmuszającego do wytrzymywania rywalizacyi pisarzy jemu dorównywających) przypomina się chociaż niekiedy sztukami drobnej wartości, lecz nieznanemi tutaj. Ułożył on komedyą w 3ch aktach, *Deputacya w miasteczku*, jako też inną: *dwie hrabianki*: przetłumaczył: *zielone rękawiczki*, przerobił z powieści *drugą żonę* komedyą, skreślił wesołkę: *teatr amatorski w Ciechocinku* i t. d.

Te sztuki nie są u nas znane, a nadto z liczby ogólnej 50 jego sztuk, iluż to innych nie oglądaliśmy na krakowskiej scenie jak np. Andrzej Batory, Konkurenci czyli walka z kobietą, Autorka, Blanka Orsino, a ileż to mało są u nas znanemi np. Wąsy i Peruka, Sąd, Młoda wdowa, Izabella d'Ayamonte i t. p.

Z resztą, mamyż zawsze wyłącznie zwracać wzrok ku jedynej gwieździe dziś piszących dramatyków? czy nie powinni byśmy z serdecznem uznaniem oddawać poklask pracy nie tak genialnej, ale za to wytrwałej i obfitej, pracy coraz widoczniej dobiegającej kresu wykształcenia, pracy z myślą szlachetną, z dążeniami wyższemi, uwydatnionej w komedyach *Adama Gorczyńskiego*?

Kiedy Korzeniowski snadź przekonawszy się, że od arkusza powieści lepiej płacą niż od całego utworu scenicznego, że nadto nieporównanie łatwiej jest pisać powieści niż dramata, rzucił się do powieściarstwa, kiedy wszyscy bez wyjątku nasi znakomici inni powieściarze i poeci, bawiąc się w gawędy i romanse, boją się dotknąć piórem sfery dramatu dla tego, że czują, iż siły ich może nie zawsze podołałyby zadaniu, że laury uzyskane przez wierszyk lub powiastkę, mogłyby zżółknąć, gdyby biorąc sobie za rzecz honoru, podźwignięcie dramatu ojczystego, sami chcieli spróbować jak to się piszą dzieła sceniczne, naówczas jeden tylko *Gorczyński Adam*, nie zrażając się trudnościami, porzuca łatwiejszą powieść, dla trudnej komedyi, i sam tylko jeden, w całem teraźniejszem piśmiennictwie

naszem, pracuje wyłącznie dla sceny i rozwija chwalebną czynność wciągu niespełna czterech lat ostatnich. Nie lęka się on ogromu pracy i poświęcenia, jakich wymaga napisanie choćby niezupełnie wykończonego dramatu scenicznego, którego obmyślenie trafne częstokroć więcej zabiera czasu, niż zaimprowizowanie powiastki, zapłaconej już naprzód do feletonu.

Gorczyński od r. 1844 utworzył trzy dramata wierszem: *Ludgarda, Władysław Łokietek, Zbydowscy.* Lecz od r. 1851 dopiero, popisał szereg dram i komedyi, których liczba dochodzi cyfry 20. Są to same sztuki obszerne, zwykle zajmujące cały wieczór widowiskowy. Z pomiędzy tych, dramat *Bajbuza* i pięć komedyi: *Anglik, Francuz, Włoszka, Esterka, Detaksacya* były już w roku przeszłym i poprzednich widziane na scenie krakowskiej, ale grano je rzadko; dlatego należałoby powtórzyć je, jako mało znane dawniejszej, a nieznane wcale dla nowej dzisiejszej publiki krakowskiej. O sztukach tych pisano obszerniej w Dzienniku literac. lwows. 1853 Nr. 26. 29, i roku 1854 Nr. 3. Oprócz tych nakreślił Gorczyński Adam wiele nowych dzieł, nie granych na żadnej scenie, z tych wiemy o ośmiu następnych:

Młoda autorka kom. w 3 a. mniej ułożona szczęśliwie niż inne, by znalazła powodzenie na scenie, graną jednak była w prywatnem kółku, przy zmianie zakończenia sztuki i z powodów dobrej gry amatorów, powiodła się nad spodziewanie. Sztukę tę drukowano r. b. w feletonie Czasu Nr. 33—40.

Sztuka *Tajemnica* a raczej komedya z czasów W. X. Warszawskiego, maluje nam barwę epoki ówczesnej, tak dla nas ważnej, ciekawej, a obfitej w effektowność sceniczną, i typy oryginalnej epoki, którą w powieści *Skarbek*, w pamiętnikach *Nakwaska*, a w dramacie *Sztolcman Filip* uprzytomnić próbowali. —

Komedya *Ojciec chrzestny* i dramat *Hiszpanka* również spoczywają w tece, są obszerne rozmiarem; o nich będę miał sposobność mówić kiedyindziej, gdy dziś napomknę o innych czterech komedyach, o których nigdzie dotąd nie pisano.

Liścik różowy czyli pierwsza łza, kom. w. 5. akt. prozą. Piękna w niej prawda przeprowadzona, ilekroć małżonek zbacza z drogi prawej, nie umiejąc się ograniczyć na uczczeniu przymiotów żony, tyle razy ona, zostaje narażoną na niebezpieczeństwa, mogące rozwiać spokój małżeński, osłabić przywiązanie jej do męża, i skłonić ją do niewierności. Postępowanie naganne męża, daje okazyę żonie do mimowolnej winy. — Podobać się tu musi charakter naiwny prostodusznej Stasi, młodej małżonki i wiernie portretowana postać hrabiny, kobiety światowej, płochej, a bez serca. (D. n.)

Rozmaitość.

Z pod Krakowa. Gdyby nieboszczyk Au. Wi. jowialny chirurg filozofii żył jeszcze, miałby śliczny materyał do humorystycznego obrazku, w którymby oprawił w ramki kilka postaci podając ich wizerunki w czasie przyjmowania tanecznicy przybywającej, fetowania i towarzyszenia jej w sposób taki, aby to wszystko uczynić rozgłośnem. — Przyjęcie Pepity na kolei żelaznej przez dyrektora Gaudeliusza z całą trupą swoją komedyantów w strojach balowych, przy odśpiewaniu kantaty w dworcu kolei jak i w oberży — głośne przemowy i prezentowania, wyskoki niedorzeczne jednej z osób z królestwa przybyłych, wreszcie marnotrawna kupno-sprzedaż konia nie wartającego 100 reńskich za 500 przeszło złr., a to w tym celu aby tylko Pepitę odprowadzić konno — i kilka jeszcze podobnych drobnych niedorzeczeństw, uskutecznionych przez ludzi, od których nic rozsądnego i dorzecznego nigdy spodziewać się nie było można: oto jest wszystko, co wywołała Pepita Oliwa swoim przyjazdem. W przyjęciu jej występów, publiczność okazała się szczodrą sypaniem oklasków i wieńców, ale tancerka nie wywołała szału i zachwytu, bo taniec jej oryginalny lecz nie trudny i nie baletniczy, a postać choć śliczna, o formach ciała najdoskonalszych, lecz już na twarzy tancerki znać że już przychodzą lata Balzakowych bohaterek. Czwarty występ Pepity, zawsze przy cenach podwójnych i potrójnych, już mało osób zgromadził, teatr był pusty.

Raz ostatni wystąpiła bezpłatnie na benefis Królikowskiego Karola, sama mu zaproponowawszy, iż chce tańczyć na tym benefisie, a to w skutek podobno dobrej gry Królikowskiego w Rinaldinim, która ją tak interesowała, że do końca tej nędznej sztuki, mimo nie rozumienia języka, przesiedziała w loży.

W ciągu pobytu Pepity popisywała się w cyrku olimpijskim inna Pepita, młodziuchna ale nie bardzo zgrabna córka właściciela cyrku Bellinga. Cyrkowi źle się powodzi — bo też trupa licha pod wszelkim względem.

Wystawa obrazów już dawno otworzona, ale nie wiele przybyło więcej nad to, o których wam już donoszono. Kiedy w tych miesiącach otwarto wystawę obrazów w Petersburgu, tam obrazy polaków nie pozostały w tyle i owszem pierwszeństwo otrzymały niektóre, jakto obrazy: Wankowicza, Antoniego Goreckiego, Appolinarego Gorawskiego peizażysty z Guber. Mińskiej. Stankiewicza, Leonarda Straszyńskiego. — Na naszej zaś wystawie rzec można, iż obrazy naszych artystów, musiały wydać się mniej korzystnie, jak skoro pomieszano je z arcydziełami mistrzów europejskiej sławy, jakiemi są Winterhalter, Ary Szeffer lub Amerling, to jest z obrazami których twórcy, wcale nie posyłali je na naszą wystawę. Przyjdzie nam kiedyś szerzej mówić o wystawie i wykazać jak już z początku rozminięto się z jej celem.

Oprócz wypisanych wam dzieł, przybyły jeszcze prace: *Jana Gniewosza* z Galicyi, *Andrzeja Grabowskiego* z Krakowa, *Seweryna Mielżyńskiego*, *Modesty z Płońskich Kremerowej* z Podola (głowa wieśniaczki). — *Antoniego Ziemięckiego* bitwa pod Somosiera — *Franciszka Stiglera* z Krakowa Laokoon, studium z odlewu gipsowego, kredą.

Nadto rzeźby *Marcina Rogozińskiego* z Krakowa. Chrystus kuszony przez szatana, płaskorzeźbą z gipsu, *Szuberta* krakowianina: Chrystus błogosławiący dziatki. *F. Sosnowskiego* Edyp i Antygona, *Ziębowskiego* z Krakowa: Sześć portretów w medalionach z bronzu — *Münheimera* z Warszawy: Medal z bronzu na cześć Paszkiewicza. —

Razem około 80 sztuk znajduje się na wystawie. Obrazy tak zwanej galeryi Dąbskich, jeszcze nie porozwieszane, zajęto się dopiero oprawianiem ich w ramy. *Podo...cki Józef.*

* W chwili wojennej umysł ludzki wyłącznie zwrócił się do przemyśliwania nad tem jakby korzystając z dzisiejszego stanu nauki wynaleść sposoby pokonujące nieprzyjaciela łatwo i bezpiecznie. Zapewne, że wiele w tych wynalazkach jest przesady i dziwactw. Ale niektóre pochodzą od mężów którzy już dali dowody praktycznego umysłu. I tak Perkins, syn wynalazcy działa parowego, zaproponował, iż uleje działo, które dwudziesto-cetnarowe kule rzucać będzie na odległość naszej mili i oświadcza iż do zburzenia Sebastopola dosyć będzie jednego takiego działa. Działo Lancastra wynalazca tak dalece wydoskonalił, iż przy mniejszym naboju o 600 Yardów dalej niesie, a rząd angielski kazał kilkadziesiąt nowych takich dział ulać. Pułkownik Chalmer wynalazł haubicę 125 cetnarów ważącą, którą po kilkakroć już próbowano; okazało się iż kule szesnasto calowe na 16 000 stóp rzuca. Nasmyth, wynalazca młota parowego, wykuwa działo z żelaza które dwu lub trzy cetnarowe kule na taką odległość nieść ma, jakiej żadne rossyjskie działo nie dosięże.

Najważniejszym wynalazkiem mają być rakiety wynalezione przez francuzkiego pułkownika od inżynierów, pana Susanne. Mają 5½ stopy wysokości a rzucone być mogą na 7000 metrów; tam gdzie padną zakopują się do 15 stóp w ziemię, gdzie pękają i na sto stóp w około się rozlatują i niszczą wszystko. Każda z tych rakiet kosztuje do 3000 franków. Do Krymu posłano teraz 160 sztuk. Ciekawa rzecz jaki będzie skutek.

* Jutro dane będzie w teatrze polskim na dochód ulubionej powszechnie artystki, Panny Eweliny Kasprzyckiej **Jerzy i Marya** dramat w 5 aktach, przez PP. Aniceti Bourgeois i Michel Masson.

Sztuka ta prawie we wszystkich paryskich teatrach z największem upodobaniem przyjęta.

* Wydawca przyjmuje jedynie listy prenumeracyjne frankowane.

Przyjechali dnia 27. Grudnia do Lwowa.

PP. Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Karol Ferdynand, z Bochni. Glasser c. k. jenerał major, z Przemyśla. Kotzebue Karol, ces. ros., radca stanu z Wiednia. Smarzewski Seweryn, z Hankowic. Turkuł Erazm, ze Seredca. Wiśniewski Wiktor, ze Strzelisk.

Wyjechali dnia 27. Grudnia ze Lwowa:

PP. Starzyński Józef i Leopold, hr. do Mogielnicy. Mier Henryk hr. do Buska. Miączyński Jan, do Suchodołu.

Kurs telegrafowany z Wiednia 27 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	195¼	Medyolan za 300 lirów .	125¼
Augsburg za 100 złr. .	128¼	Paryż za 300 franków .	149
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	127¼	Srebra agio	—
Genua.	—	Pożyczka 5% 83¼ 4½	71⅝
Hamburg za 100 tal. banco	94¼	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	—
Liwurno	—	Kolej północna	1883¾
Londyn za 1 funt szterl.,	12 23	Obl. ind.	73½
Marsylia	—	Nowa pożyczka z loteryą	98⅜
		Pożyczka narodowa . .	86⅜

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 55			złr. 5	kr. 59		
Dukat cesarski	« 5	» 59			» 6	« 3		
Półimperyał zł. rosyjski	« 10	« 15			» 10	« 17		
Rubel srebrny rosyjski	» 2	« —			« 2	» 1		
Talar pruski	» 1	« 54			» 1	« 56		
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	» 1	« 26			» 1	« 27		
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	» 89	« 30			» 90	« 10		

Obligacye. indemnizacyjne 74 50 do 75 złr. — kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**